

Z PKF przez Polskę i świat – Premier redaguje

22 lipca 2019

Były szef kinematografii polskiej, pierwszy zastępca ministra kultury, Mieczysław Wojtczak, w swoim imponującym dziele pt. „Kronika nie tylko filmowa” pisze: „(...) PKF przez lata była oczkiem w głowie, przedmiotem bezpośredniego zainteresowania, wysokich władz, a szczególnie Piotra Jaroszewicza, który nie żałował środków finansowych na zakup sprzętu i nowoczesnych kamer filmowych”. Słowem, PKF należała do pieszczochów premiera! Jak te pieszczoty wyglądały, opowiem.

W czasach, kiedy generał Piotr Jaroszewicz pełnił funkcję wicepremiera w rządzie Józefa Cyrankiewicza, kronika dość często otrzymywała zaproszenie brzmiące mniej więcej tak: „Towarzysz premier Piotr Jaroszewicz przyjmuje delegację zagraniczną... i prosi PKF o zanotowanie tego faktu”. Kronika wysyłała wtedy operatora z kamerą, z sześćdziesięcioma metrami taśmy w kasecie, aby uświetnić, zapisać dla potomnych i... zapłacić operatorowi za trud, czego dowodem było owe 60 metrów naeksponowanej taśmy czarno-białej. Wywołany materiał przekazywaliśmy do archiwum. Temat nigdy nie ukazywał się na ekranie...

Zapisuję w tym miejscu tylko fakty, nie będę się wdawał w spekulacje i dociekania, co skłoniło Piotra Jaroszewicza, gdy został premierem, do okazywania kronice „bezpośredniego zainteresowania” i... pomocy w redagowaniu kolejnych wydań.

Każdego ranka w środę i w piątek jeszcze „gorące” pudło z nagraniem kroniką (pierwsza kopia) redaktor naczelny, Michał Gardowski brał pod pachę i jechaliśmy do Urzędu Rady Ministrów w Aleje Ujazdowskie, gdzie pracował Piotr Jaroszewicz. Tam w wielkiej sali narad, przy odsłoniętych olbrzymich oknach, prezes Rady Ministrów w otoczeniu wicepremierów i wyższych

rangą urzędników oglądał, jako pierwszy widz w ludowej ojczyźnie, Polską Kronikę Filmową.

Początkowo seanse przebiegały znośnie, Piotr Jaroszewicz zadawał pytania, redaktor naczelny odpowiadał. A gdy po pewnym seansie skrytykował dorodne konie pokazane w kronice na wystawie rolniczej w Opolu, zorganizowanej z okazji Centralnych Dożynek, no i oczywiście nas, że propagujemy „darmozjadów”, wtedy w sukurs przyszedł nam wicepremier Mieczysław Jagielski, odzywając się do zwierzchnika w te słowa: ależ generale, konie to wielka tradycja naszej armii, pozwolę sobie wspomnieć bitwę pod Grunwaldem i naszą husarię pod Wiedniem. Wypowiedź wicepremiera powstrzymała złość Jaroszewicza. Zauważyłem, że słowo „generał” wyraźnie mu się podobało. Tym razem wracaliśmy z tarczą.

Innym razem, premier skrytykował nas za to, że robimy widzom „wodę z mózgu”, zamieściliśmy, bowiem temat z kroniki rumuńskiej o połowie jesiotrów w delcie Dunaju. Pierwsze ujęcie: jesiotr w sieci, następne: ryba na pokładzie, i w reszcie trzecie: ryba wypatroszona, wisząca na haku, a kawior w misce. „Chcecie wmówić ludziom, że łowi się wypatroszone jesiotry” – pytał premier podniesionym głosem. Dopiero wyjaśnienie Gardowskiego, że to skrót montażowy, zastosowany przez filmowców rumuńskich, udobruchał zdenerwowanego premiera.

Prawdę powiedziawszy cały zespół PKF czekał zwykle naszego powrotu z zapasowymi tematami, przygotowanymi na wypadek, gdyby premier wyrzucił z kroniki jakiś „kawałek.” Taki dzień nadszedł nieuchronnie. Podczas nieobecności redaktora naczelnego PKF zgłosił się do mnie młody filmowiec z propozycjami różnych tematów. Szkopuł tkwił w tym, że owe propozycje dotyczyły województwa krakowskiego. A w Krakowie PKF miała swój oddział i niezmiernie zasłużonego operatora Henryka Makarewicza.

Zgodziłem się na wyjazd młodego filmowca w krakowskie, żywiąc

cichą nadzieję, że pan Henryk się na mnie nie obrazi, a szef nie skrytykuje za rozrzutność. Nekanda-Trepka Garstecki, bo o nim mowa, przywiózł opowieść o zaniedbanej wiejskiej szkole w powiecie limanowskim, samotnej i bezradnej, zapomnianej przez Boga i władze nauczycielce. Słowem temat „na czasie”, zbliżał się, bowiem pierwszy września, czyli inauguracja nowego roku szkolnego. Aby nikt nie dostał zawrotu głowy od sukcesów, bo sukcesy zaczęły się już przebijać dziarsko na mały ekran, zamieściłem go w kronice nr 35B/71.

Właśnie Michał Gardowski zdążył wrócić z wojaży, pojechaliśmy więc razem do Urzędu Rady Ministrów... Nie byliśmy przygotowani na wybuch gniewu premiera. Piotr Jaroszewicz wpadł w furję! Zaczął na nas wrzeszczeć, że szkalujemy socjalizm, że jesteśmy złośliwymi, nieodpowiedzialnymi dziennikarzami. „Ja jestem nauczycielem i wiem, że takich szkół w Polsce Ludowej nie ma” – krzyczał premier rozgniewany do białości. Kazał natychmiast usunąć z kroniki „kawałek o szkole”, grożąc, że jak nie wykonamy polecenia, to on nas wyrzuci na zbite pyski! Wracaliśmy na Chełmską wzburzeni i podłamani. Temat natychmiast usunęliśmy z kroniki. Wstawiliśmy na jego miejsce nowy, co oznaczało, przy ówczesnej technice, że musieliśmy całą kronikę nagrywać od początku. Michał Gardowski nie powiedział mi ani jednego przykrego słowa, jestem mu za to do dziś wdzięczny... Poradził jedynie, bym natychmiast wziął delegację i pojechał gdzie mnie oczy poniosą. I tę decyzję także rozumiałem, chciał prawdopodobnie, abym mu zniknął na kilka dni z oczu.

Pojechałem oczywiście do Krakowa. Zamierzałem dotrzeć do tej nieszczęsnej szkoły, zrobić zdjęcia i zobaczyć ją w całej krasie. Nie zobaczyłem. Przyjechałem do Krakowa późnym wieczorem. W nocy zadzwoniła do hotelu moja żona, Renia. Wracaj natychmiast. Awantura o szkołę wcale się nie skończyła...Zdecydowałem polecieć pierwszym porannym samolotem. Na lotnisku w Balicach spotkałem Władysława Machejka, redaktora naczelnego „Życia Literackiego.” Odgadł natychmiast

z mojego zachowania, że coś nie w porządku, bo zapytał, co się stało? Opowiedziałem mu historię szkoły... „Nie przejmuj się” -- poradził. Wyciągnął piersiówkę i poczęstował mnie nalewką. Pomogła nadzwyczajnie. Przez całą drogę rozmawialiśmy na inne tematy. Po powrocie do redakcji wyjaśniło się, dlaczego awantura znowu wybuchła... Otóż, zdruzgotani złością premiera, usunęliśmy temat z kroniki, ale zapomnieliśmy o tym, że wydanie B emituje telewizja! A z tej kopii tematu o szkole nie wycięliśmy. Premier zobaczył kronikę w telewizji i wszystko zaczęło się od nowa.

Nawet nie usiłuję sobie wyobrazić, jak Piotr Jaroszewicz się zdenerwował. Ile mu sprawiliśmy przykrości i na jaki stres go naraziliśmy, burząc mu wizję szczęśliwej Polski.

Wyjaśnienie sprawy premier powierzył Janowi Czapczyńskiemu. Było to dla mnie jakąś pociechą, przyjaźniłem się z nim od pierwszego dnia studiów. Poznaliśmy się biorąc udział w czynie studenckim na budowie Trasy W- Z. Obaj nie dostaliśmy akademika, co nas zbliżyło i stało się początkiem przyjaźni. Wspólnie z Julkiem Bartoszem, który też mieszkał w akademiku „na waleta”, postanowiliśmy walczyć o swoje. Udaliśmy się do ministerstwa i zajęliśmy gabinet pełnomocnika do spraw studenckich w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego w Warszawie. Podczas nieobecności urzędnika wkroczyliśmy do jego gabinetu, rozłożyliśmy skrypty, rozsiedliśmy się w wygodnych fotelach i oddaliśmy się zdobywaniu wiedzy. Z okupowanego gabinetu usunięto naszą trójkę siłą. Na szczęście zastępca pełnomocnika, człowiek o dobrym sercu, przyjął nas życzliwie i zapewnił, że jeśli znajdziemy jakiś wolny pokój w którymkolwiek akademiku w stolicy, przydzieli nam go natychmiast. Znaleźliśmy na ulicy Grenadierów...

Janek Czapczyński obejrzał kronikę i pojechał sprawdzić, czy szkoła rzeczywiście istnieje. Zanim napisał sprawozdanie dla premiera, w „Życiu Literackim” (19 września 1971 r. nr 38) ukazał się artykuł Władysława Machejka pt. „Przeciw dreptaniu w miejscu”, a w nim następujący fragment: „Towarzysz Gustek, I

sekretarz KP PZPR w Limanowej opowiadał o obrazie w TV (w PKF 35B/71 – uwaga M.Ch.) wykonanym przez młodych żarliwych filmowców, w którym to obrazie przedstawili dno materialne i umysłowe jednej ze szkół podstawowych we wsi limanowskiej. To wszystko prawda, stwierdził sekretarz Gustek. Rzeczywiście panuje ubóstwo...ale nie tylko w jednej sfilmowanej szkole. Takich szkół wmontowanych w prywatne obejścia, domy, chaty, spichlerze i chlewy często urągających elementarnym warunkom higieny i bezpieczeństwa jest w powiecie dwanaście; lekcje odbywają w dwustu wynajętych prywatnych izbach i wiejska dzieciarnia oraz nauczyciele muszą ganiać z krańca wsi na drugi kraniec, żeby odbębnić lekcje. Nic dziwnego, że w takich okolicach ironicznie dyskutuje się o lotach na Księżyc i ludzie mało przejmują się kłopotami „miejskimi.” Albowiem istnieje tylko zrozumienie dla własnych krzywd i zapaści. Zbyt powolne wyrównywanie dysproporcji rodzi prądy przedrzeźniające i negujące ogólny postęp”.

Wypowiedź sekretarza komitetu powiatowego partii w Limanowej, któremu premier nie mógł zarzucić, że „szkaluje socjalizm” dowodzi, że istniały dwie Polski: Polska sekretarza z Limanowej i ta w głowie premiera, Piotra Jaroszewicza. Prosiłem Janka, by dołączył artykuł Machejka do swojego sprawozdania.

Janek Czapczyński poinformował mnie, że premier wysłuchawszy jego relacji powiedział: „wiedziałem, że winien będzie kierowca”. Oczywiście, miał na myśli tego kierowcę, który z Chełmskiej zawiózł pudełko z taśmą do telewizji. Zanedbana szkoła została zburzona, a na jej miejscu z polecenia premiera, Piotra Jaroszewicza, wzniesiono nowoczesny budynek. Pokazaliśmy go z wielką przyjemnością w ramach „propagandy sukcesu,” używając do tego „manipulacji ideologicznej”.

Na marginesie dodam, że nie zniszczyliśmy usuniętego tematu, można go znaleźć w archiwum w tak zwanych „odrzutach”, poz. 15-16. Realizator Nekanda-Trepka Garstecki.

Kiedy indziej prezes Rady Ministrów nakrzyczał na nas, gdy

zobaczył na ekranie temat „Trudne żniwa”. „Kosy w Polsce już nikt nie używa” – oznajmił kategorycznie. Skąd on czerpał taką wiedzę, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Tłumaczyliśmy, że to tereny podmokłe, po długotrwałych opadach. Skończyło się na krzyku. Ale w następnym wydaniu pokazaliśmy przewspaniałe kombajny w PGR w Wielkopolsce i premier był usatysfakcjonowany.

Jego „pomoc” w redagowaniu kroniki stawała się kłopotliwa i kosztowna, chwile wytchnienia mieliśmy wtedy, gdy Piotr Jaroszewicz wyjeżdżał „w Polskę” albo był niezmiernie zajęty ważnymi sprawami państwa. Byłem już wtedy redaktorem naczelnym PKF, Michał Gardowski został wiceprezesem Radiokomitetu. Premier dawał mi wytyczne, jak mam redagować Kronikę: żadnej rozrywki, piosenki mogą być, ale tylko w wykonaniu Ireny Santor. Piotr Jaroszewicz był jej wielbicielem. Upodobania premiera potwierdził Karol Małcużyński. Opowiedział mi, jak będąc na kolacji u państwa Jaroszewiczów, wysłuchiwał całego wywodu premiera o talentach pani Ireny. „Ale najważniejsze – pouczał mnie premier – to pokazywać ogrom osiągnięć Polski, przemysł przede wszystkim, bo tu mamy największe sukcesy”. Zgodziłem się z moim „nauczycielem”, ale powiedziałem, że pokazywanie fabryk to żadna sztuka, osiągnięcia – moim zdaniem – należy przedstawiać w taki sposób, aby ludzie chcieli je oglądać. „Co stoi na przeszkodzie?” – zapytał zdziwiony premier. „Cenzura”. I opowiedziałem premierowi, jak to cenzura zdjęła temat o meleksach – wózkach akumulatorowych służących do transportu w dużych zakładach pracy, eksportowanych do krajów „strefy dolarowej”.

Kronika pojechała, do zakładu produkującego owe wózki z modelkami z „Mody Polskiej.” Wsadziła je na meleksy i zrealizowała temat pokazując nie tylko nowoczesny zakład, ale piękne Polki w gustownych strojach.

Premier wysłuchiwał mojej relacji z zainteresowaniem. I powiedział: dajcie ten kawałek w następnej kronice. Na nagraniu kolejnej kroniki cenzor aż podskoczył do góry, gdy na

ekranie pojawiły się meleksy (tekstu do tego tematu nie wysłaliśmy na Mysią): „Przecież usunąłem ten temat z poprzedniego wydania”. „Szkoda mi takiego pięknego tematu” – tłumaczyłem. „Nic na to nie poradzę – odpowiedział cenzor – jest zapis w księdze, a ja nie mogę go zmienić”. „A premier może?” „Może”. „No to Piotr Jaroszewicz zapis zmienił”.

Józek zaniemówił. Pobiegnął do telefonu, by sprawdzić, czy zapis usunięto. Po chwili wrócił i oznajmił, iż dyrektor cenzury chce ze mną rozmawiać. Poinformowałem dyrektora, że mam zezwolenie premiera. Nie dowierzał. Zaproponowałem, by zadzwonił do Urzędu Rady Ministrów. Od tej pory cenzor wyraźnie złagodniał. Choć muszę przyznać, że to nie cenzorzy byli dla kroniki największym problemem.

Po dwudziestu pięciu latach służby rudowęglowiec „Sołdek”, pierwszy statek pełnomorski, zbudowany po wojnie (listopad 1948 roku) w polskiej stoczni, pokazywany w kronice, noszący imię od nazwiska trasaera Stanisława Sołdka, miał popłynąć w swój ostatni rejs. Polska Kronika Filmowa, która towarzyszyła narodzinom, nie mogła nie uczestniczyć w ostatniej, sentymentalnej podróży statku.

Wraz z operatorem Sławkiem Sławkowskim, przyjechaliśmy do Szczecina w przeddzień ostatniego rejsu. Armator poinformował, że mamy jeszcze dwa dni czasu, ponieważ statek jest dopiero w połowie załadowany węglem. Nie zamierzaliśmy czekać bezczynnie, ruszyliśmy popatrzeć, co dzieje się na trasach turystycznych.

W Pobierowie trafiliśmy na camping zaniedbany i brudny. Pomyślałem, że szczęście się do nas uśmiechnęło. Premier na te wakacje rzucił hasło: „Czystość, ład, Porządek”. Nie ukrywam, sądziłem naiwnie, iż temat o tym campingu przypadnie do gustu premierowi. Oto krytykujemy brudasów, którzy nie podjęli apelu rządu naszego ludowego. Natychmiast, pocztą dworcową, wysłaliśmy taśmę do redakcji z prośbą, by jak najszybciej umieścili „camping” w jednym z wydań kroniki.

Po powrocie z Kopenhagi wybrałem się z żoną i córką na urlop, nad morze, do Świnoujścia. Po kilku dniach wypoczynku otrzymałem w ciągu paru godzin aż trzy depesze: wracaj natychmiast – alarmował Janusz Kędzierzawski, mój zastępca. Przerwałem urlop. W Warszawie dowiedziałem się od Janusza, że jestem zwolniony z pracy przez samego prezesa Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej za zamieszczenie w kronice tematu o zaniedbanym campingu.

Janusz Kędzierzawski nie mógł ochłonać po wizycie u premiera, a właściwie po tym, co tam usłyszał. Prezes Rady Ministrów po obejrzeniu kroniki wpadł w furję. „Macie mieszkanie? – pytał Janusza. „Mam”. „A łazienkę macie w tym mieszkaniu?” „Mam”. „To dzięki takim jak wy pół Polski sra za stodołą” – zakończył premier i kazał mnie wyrzucić z pracy.

Wiedziałem, że w czasie urlopu nikt nie może mnie z pracy usunąć, nawet premier. Nie pokazywałem się na Chełmskiej, można powiedzieć, że się ukrywałem. Zawiadomiłem żonę, że wrócę za tydzień, a przez ten czas naradzałem się – co robić? No i mocno tłumiłem lęk, popijając z przyjaciółmi.

Koledzy nie szczędzili mi dobrych rad, czas płynął, a moje położenie nie poprawiało się ani o jotę, urlop musiał się przecież kiedyś skończyć. I co wtedy?

Zdecydowałem odwołać się do Komitetu Centralnego, a ściślej biorąc, do członka Biura Politycznego, Jana Szydłaka, któremu podlegały „środki masowego przekazu”. Zadzwoiłem do szefa jego gabinetu i poprosiłem o przyjęcie. Po piętnastu minutach otrzymałem telefon, że towarzysz Jan Szydłak przyjmie mnie za godzinę.

Pojechaliśmy do KC, nie ukrywam na mocnym kacu, z Januszem Kędzierzawskim, bo to on wysłuchiwał reprimendy premiera i on zrelacjonował sekretarzowi i członkowi Biura Politycznego KC przebieg wizyty w Urzędzie Rady Ministrów. Jan Szydłak wysłuchiwał relacji i ku naszemu zdziwieniu zapytał, jak

zareagowała na kronikę z tematem o campingu Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie. Doprawdy, nie wiedzieliśmy. Z pomocą przyszedł uczestniczący w rozmowie Wiesław Klimczak, który poinformował Jana Szydłaka, że egzekutywa szczecińska uznała temat za pożyteczny. Kamień spadł mi z serca.

Towarzysz Szydłak poprosił Wiesława Klimczaka, aby zadzwonił do premiera i poinformował go, iż o losie kadr zatrudnionych w środkach masowego przekazu decydują odpowiednie instancje partyjne.

Dostać się do członka Biura Politycznego wcale nie było łatwo postanowiłem, zatem wykorzystać pobyt u Jana Szydłaka i poinformowałem go, że z okazji trzydziestej rocznicy Polski Ludowej zamierzamy pokazać w specjalnym cyklu dorobek i osiągnięcia trzydziestolecia. „Sądzicie, że tak dużo mamy tych osiągnięć?” – zapytał Jan Szydłak. Odpowiedziałem, że na szesnaście kronik ich wystarczy, ale potrzebna jest kolorowa taśma, i to najwyższej jakości. Przedstawiłem zarys cyklu, wsparł mnie Janusz Kędzierzawski. Towarzysz Szydłak zaakceptował nasz pomysł. Znaczyło to, że będziemy mieli barwną taśmę! A operatorzy i dziennikarze pole do popisu, nie mówiąc już o zarobkach.

Kroniki monotematyczne wymagały nie tylko zgłoszenia tematu i dokumentacji, ale także scenariusza, scenopisu, za co redakcja płaciła dodatkowo. Stwarzały redaktorom i operatorom większe możliwości wykazania się inwencją i potencjałem twórczym. Barwna taśma zestawiona z czarno-białym materiałem archiwalnym Polskiej Kroniki Filmowej pobudzała wyobraźnię nie tylko autorów kronik poświęconych trzydziestoleciu Polski Ludowej, ale uzmysławiała milionom widzów, jaką drogę cywilizacyjną przeszło polskie społeczeństwo.

Dziś właśnie te kroniki stały się dla „krytyków na zawołanie” świadectwem tego, że PKF uprawiała propagandę sukcesu. A przecież nowe osiedla, szkoły, szpitale, domy kultury i

fabryki pokazane wówczas, nie są budowlami wirtualnymi.

Dekada Edwarda Gierka wyprowadzała kraj z polskiego zaścianka na szerokie drogi europejskie. „Sukces gospodarki – pisze prof. Kazimierz Z. Poznański w „Wielkim przekręcie” – należy mierzyć jednak nie tyle zdolnością pomnażania zasobów kapitału, co zdolnością tworzenia miejsc pracy, których w okresie Gierka powstało 2,1 miliona. To był niesamowity przyrost, prawie o jedną piątą w trakcie jednego dziesięciolecia, tak że rozładowano tzw. wyż demograficzny. Dla porównania, w okresie 1990 -1997, czyli w epoce Balcerowicza, zlikwidowano 2,1 miliona miejsc pracy, czyli jedną piątą.” Mieliśmy więc, co pokazywać i z czego się cieszyć. W pamięci społeczeństwa tkwiły jeszcze mocno bieda i bezrobocie II Rzeczypospolitej nie mówiąc o analfabetyzmie, zacofaniu cywilizacyjnym i kulturalnym Polski. Gdyby nie dorobek Polski Ludowej, tak wściekle dziś poniewieranej i atakowanej, co byśmy dziś prywatyzowali i sprzedawali? Profesor Poznański twierdzi, że majątek narodowy stworzony w PRL sprzedano za 10 procent jego rzeczywistej wartości!

Wracając do spotkań z Piotrem Jaroszewiczem, wspomnę jeszcze o trzech. Premier wybrał się z oficjalną wizytą do Indii. Towarzyszyła mu w tej podróży nie ekipa PKF, złożona z trzech osób, a jedynie Ryszard Gołc – operator, ulubieniec żony premiera, pani Alicji Solskiej (walczyła w Armii Ludowej, w czasie Powstania Warszawskiego przepłynęła z meldunkiem na drugi brzeg Wisły) dziennikarki „Trybuny Ludu”. Była to zapewne osobista decyzja Piotra Jaroszewicza.

Współczułem Ryszardowi z całego serca. Wyobrażałem sobie jego katorżniczą pracę w niesamowitym upale, dźwigającego nie tylko ciężką kamerę, ale kilka zapasowych kaset z taśmą. Wrócił straszliwie zmęczony, poprosił mnie, aby nie wysyłać go już nigdy w pojedynkę, bo będzie musiał stanowczo odmówić.

Montaż tematu sprawił nam ogromne kłopoty. Rysiek nie wiedział, kogo filmował i kto jest w kadrze. Musiałem prosić o

pomoc osoby z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które towarzyszyły premierowi. Każde wydanie Kroniki mieściło się na trzystu metrach taśmy. Temat z wizyty Piotra Jaroszewicza w Indiach miał sto metrów – jedna trzecia wydania. Na więcej nie starczyło materiału.

Z Biura Rzecznika Prasowego Rządu poinformowano mnie, że premier obejrzy kronikę osobiście. W wielkiej sali konferencyjnej zastałem premiera, jego żonę Alicję Solską i ministra Włodzimierza Janiurka. Kiedy skończył się stumetrowy temat z wizyty, premier zapytał: tylko tyle? Dlaczego nie pokazaliście tłumów na trasie przejazdu, co wy sobie wyobrażacie? Sabotujecie oficjalną wizytę prezesa Rady Ministrów? Natychmiast przygotujcie pełne wydanie kroniki. Nie czekając na koniec projekcji, wstał z fotela i wyszedł. Nie chciał mnie nawet wysłuchać.

Zdażyłem jedynie Alicji Solskiej powiedzieć, że nawet tak utalentowany operator jak Ryszard Gołc w pojedynkę nie był w stanie nic więcej sfilmować. Spojrzała na mnie ze zrozumieniem, ale nie powiedziała ani słowa. Była chyba nie mniej ode mnie zaszokowana zachowaniem premiera!

Wróciłem do redakcji tak zbulwersowany, że pudełko z kroniką wziąłem do swojego pokoju zamiast zostawić je w sekretariacie. Usiadłem za biurkiem i napisałem rezygnację z funkcji redaktora naczelnego Polskiej Kroniki Filmowej. Poprosiłem Basię Siwińską, aby szybko przepisała pismo w dwóch egzemplarzach.

Zamiast Basi Siwińskiej z przepisany tekst w ręce, weszła do pokoju Basia Dudkiewicz – sekretarz redakcji. „Chyba nie traktujesz tego pisma poważnie” – zapytała. „Mam już dość premiera, ty postąpiłabyś inaczej? Premier żąda, abym jego wizycie poświęcił całe wydanie, skąd wezmę materiał?” I opowiedziałem jej, co się działo w Urzędzie Rady Ministrów. „Nie martw się, mamy materiału pod dostatkiem. Tłumy z pewnością znajdziemy bez większego trudu, musimy sięgnąć po

materiały z wizyty Józefa Cyrankiewicza na Cejlonie i w Indiach. Zaraz zadzwonię do archiwum. Za dziesięć minut zapraszam na projekcję do sali B.

Wiedziałem z własnego doświadczenia, że w miastach Indii ulice i place od świtu do nocy są zatłoczone, a poruszanie się po nich wymaga nie lada umiejętności. Skąd mogłem wiedzieć, że premier Jaroszewicz był przekonany, iż mieszkańcy New Delhi wylegli tak tłumnie właśnie na jego powitanie?

Tak jest do dziś. Gdy w 2004 roku moja wnuczka, Agata, wylądowała w stolicy Indii i połączyła się ze mną za pomocą Internetu, na pytanie, co wywarło na niej największe wrażenie, odpowiedziała bez wahania: „tłumy ludzi na ulicach, dziadku!”

Obejrzelismy materiał z podróży Cyrankiewicza, tłumów nie brakowało. Mnie jednak ogarnęły wątpliwości i obawy. Zwołałem posiedzenie kolegium redakcyjnego. Moje wahania przyjęto z rozbawieniem. Podjąłem decyzję. Następnego dnia kronika była gotowa.

Powiadomiłem o tym ministra Włodzimierza Janiurka. Po kilku minutach otrzymałem wiadomość, że za dwie godziny odbędzie się projekcja. Na pokaz przyszli tylko premier i minister Janiurek. Pani Alicja Solska nie przybyła... Premier z zadowoleniem obejrzał kronikę w całości poświęconą jego wizycie. Wstał z fotela i rozkładając ręce powiedział: „No, widzicie, jak was opieprzyłem, to się postaraliście!”

No comment.

Wiadomość, iż będę towarzyszył oficjalnej wizycie premiera do Iranu przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Mogłem się wszak spodziewać najgorszego.

Polska Kronika Filmowa swoją popularność zawdzięczała w dużej mierze operatorom, ich kunsztowi robienia zdjęć i zaangażowaniu w pracy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że operatorzy rywalizowali ze sobą, że poza „oficjałkami” (tak

nazywaliśmy zdjęcia dla uświetnienia uroczystości) dokładali największych starań, aby nie popaść w sztamę. Konkurowali z sobą w atmosferze koleżeńskiej życzliwości. Mimo że używali starych kamer osiągalni znakomite wyniki. Sprzęt, którym się posługiwali pracował głośno, co oczywiście przeszkadzało telewizji. Dlatego, dla wyciszenia starych arriflexów zakładano na kasety tzw. koszulki wytłumiające szum, niestety, zabieg skutkował tylko częściowo.

Na spotkanie premiera Polski w wytwornym gabinecie szachinszacha Iranu wpuszczono dziennikarzy tylko na chwilę, na kilka ujęć: uścisk dłoni obu dostojników, uśmiech i fragment rozmowy, minuta, najwyżej dwie i koniec. Rozmowa w cztery oczy odbywa się zazwyczaj bez dziennikarzy. Tak było i tym razem.

Afera wybuchła po wyjściu Piotra Jaroszewicza z pałacu. Jak zwykle dziennikarze czekali na premiera z osobami towarzyszącymi przed wyjściem z pałacu. Piotr Jaroszewicz podszedł do nas i zaczął mi w prosty sposób wymyślać za to, że kamera pracowała zbyt głośno. Osoby towarzyszące patrzyły na jego zachowanie z zażenowaniem. Dla mnie ten wybuch złości był niezrozumiały. Wszak ten sam Piotr Jaroszewicz najczęściej ze wszystkich dostojników „zapraszał” kronikę i jakoś głośno pracujące kamery mu nie przeszkadzały. Co mogłem zrobić poza wzruszeniem ramion?

W drodze powrotnej, gdy samolot osiągnął pułap wysokości i wyrównał lot, z salonki premiera wyszła pani Alicja Solka i przysiadła się do mnie. Siedziałem osamotniony, albowiem żaden z kolegów dziennikarzy po tym, co się stało nie miał odwagi sięść przy mnie. Rozmowa, dotyczyła sprzętu, jakim posługuje się Polska Kronika Filmowa. W pewnym momencie, gdy zacząłem mówić o kłopotach, zapytała czy chciałbym na ten temat porozmawiać z premierem? Zgodziłem się bez wahania, choć przyznaję, że nie wiązałem z tym spotkaniem zbyt wielkich nadziei.

Premier zapytał, czy napije się koniaku? Przeprosił za to, że mnie skrzyczał. „Nie wstyd wam, że kamery wasze są takie głośne?” „Nie mamy innych. A te głośno pracujące, to kamery zdobyczne, jeszcze z czasów wojny”. Na to premier: „To, dlaczego kamery telewizyjne pracują cicho?” „Są nowe i nowoczesne”. „A czy można kupić dla PKF kamery ciche?” „Można, ale są bardzo drogie”.

Takiego premiera widziałem po raz pierwszy; spokojny, pogodny, w jego głosie wyczuwało się nawet pewną życzliwość. Słuchał moich wywodów z zainteresowaniem. Nie chciałem nadużywać uprzejmości, kończąc stwierdziłem, że w tej chwili dla PKF są najważniejsze dwa problemy: kamery i transport. Ekipy PKF poruszają się wolno, bo mają do dyspozycji tylko nysy i robury. Gdy skończyłem, Piotr Jaroszewicz poprosił do salonki wicedyrektora od spraw gospodarczych URM i polecił mu, by kupił dla PKF kamerę przeze mnie wskazaną i dał przydział na zakup pięciu fiatów 125p. Nie wierzyłem własnym uszom. Podziękowałem premierowi i szczęśliwy wyszedłem z salonki.

Jestem do dziś przekonany, że ta życzliwość i hojność premiera była zasługą pani Alicji Solskiej. Podziękowałem jej serdecznie, gdy odwiedziła redakcję PKF.

Na marginesie dodam jeszcze, że poznałem w tym locie krewnego. Wicedyrektor, któremu premier zlecił zakup kamery, okazał się moim kuzynem.

Polska Kronika Filmowa otrzymała najnowocześniejszą na owe czasy kamerę firmy Arriflex, tzw. beelkę. Jest używana do dziś, widziałem na własne oczy jak pan Stanisław Plewa, filmował panią Hannę Gronkiewicz-Waltz podczas otwarcia stacji metra na Bielanach. Była to kamera bezszmerowa, nagrywająca jednocześnie dźwięk synchronicznie z obrazem. Niestety, ważyła około siedem kilogramów, ale nasi operatorzy robili nią zdjęcia z ręki!

Przysporzyła mi ona nie lada kłopotów. Po beelkę ustawiła się

kolejka reżyserów filmów fabularnych i dokumentalnych. Korzystał z niej Andrzej Wajda, a znany reżyser dokumentalista, Roman Wionczek, złożył na mnie skargę do Komitetu Centralnego PZPR! W dniu bowiem, w którym zaplanował realizację zdjęć, tą właśnie kamerą, PKF musiała uświetnić, jakieś wydarzenie na szczytach władzy.

Nie ukrywam, że dzięki beelce krąg ludzi niechętnych mojej osobie na Chełmskiej znacznie się powiększył. Została zakupiona dla potrzeb Polskiej Kroniki Filmowej i nikt by mnie nie usprawiedliwił, gdybym wiedział np., że w czwartek będziemy filmować jakieś ważne wydarzenie na najwyższym partyjnym czy rządowym szczeblu, a ja udostępniłbym w tym terminie ową kamerę, nawet, najśławniejszemu reżyserowi. Przecież to nie najśławniejszy twórca filmów zbierałby ciągi od premiera za głośną kamerę, tylko ja. Nie wypożyczałem beelki na kilkudniowe realizacje poza Warszawą. Zdarzyło się bowiem, że zabieraliśmy ją z planu filmu fabularnego, gdy PKF musiała uświetnić jakąś ważną imprezę, o czym dowiadaliśmy się często w ostatniej chwili.

Konflikt, jaki istniał między „kronikarzami” i „dokumentalistami”, nie był polską osobliwością. Wielokrotnie, przy okazji kongresów międzynarodowych, rozmawiałem na ten temat z kolegami. To zjawisko miało charakter uniwersalny i ponadustrojowy, występowało we Francji i na Węgrzech, w ZSRR i w RFN.

Ostatnia moja wizyta u premiera miała przebieg wyjątkowo nieprzyjemny. Po skończonej projekcji Piotr Jaroszewicz poprosił mnie do swojego gabinetu. Gdy wchodziliśmy szerokimi schodami na pierwsze piętro, spytał czy jestem żonaty i czy mam dzieci? Kiedy odpowiedziałem, że mam żonę i córkę, zapytał: „To jak je wyżywicie, gdy was zwolnię z pracy?” Uznałem, że jest to pytanie retoryczne i milczałem. Po wejściu do gabinetu objaśnił, że jego właściwy gabinet mieści się obok (niski jednopiętrowy budynek sąsiadujący z wysokim gmachem rządowym): „Tu przyjmuję tylko gości, a tam pracuję”.

Dwa tematy nie podobały się premierowi. Żart dotyczący cen nowości i występ Tadeusza Rossa z zespołem dość pulchnych dziewcząt. Pominę wykład premiera dotyczący ekonomii i oskarżenie, że mimo krytycznych uwag ciągle „podgryzam wyśiłki rządu”, bo o tym już pisałem. Premier zapytał mnie, przechodząc do krytyki T. Rossa, z którą z występujących dziewcząt sypiam? Prostota pytania wprowadziła mnie w osłupienie! Odpowiedziałem, że żadnej z tych pań nie widziałem na oczy, nie znam też pana Rossa. „To, po co takie kawałki pokazujecie w kronice? Marnujecie tylko państwowe pieniądze!”

Wysłuchiwałem długiego wywodu premiera na temat, jak ma wyglądać kronika. Napisałem „wywodu”, ale były to w rzeczywistości polecenia dotyczące treści. Nie zamierzałem podporządkować się zaleceniom prezesa Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jeszcze tego samego dnia (14 kwietnia 1975 r.) napisałem pismo do Wydziału Prasy Radia i Telewizji KC PZPR, w którym informowałem m.in., że: „Po ostatnim pokazie Polskiej Kroniki Filmowej w Urzędzie Rady Ministrów, zostałem poproszony przez towarzysza Piotra Jaroszewicza na rozmowę, w której prezes Rady Ministrów wyraził swą dezaprobatę w związku z zamieszczonym w kronice tematem o Targach Poznańskich, a następnie przedstawił swój krytyczny stosunek do tematów rozrywkowych, konkretnie do prezentowanych (...) piosenek. Towarzysz premier nakazał mi, aby PKF nie zamieszczała w ogóle tematów krytycznych, publicystycznych, rozrywkowych, piosenek i tematów z dziedziny kultury (z wyjątkiem wielkich wydarzeń kulturalnych, jak np. Dni Kultury ZSRR). Towarzysz premier Jaroszewicz przedstawił własną koncepcję. Poleciał mi mianowicie zawężenie tematyczne PKF do najważniejszych wydarzeń w życiu kraju, bowiem – jak stwierdził – Polska Kronika Filmowa, jak sama nazwa wskazuje, jest kroniką rządową”. Cytat ten pochodzi z wersji pisma poprawionego w Wydziale Prasy, moja bowiem wersja brzmiała zbyt ostro i emocjonalnie.

Po przeczytaniu skargi przyjaciele w Wydziale Prasy zapytali,

czy zdaję sobie sprawę z tego, na co się porywam? Czy dostatecznie uświadomiłem sobie, że występuję przeciw premierowi Polski i członkowi Biura Politycznego KC PZPR? Odpowiedziałem bez najmniejszych wahań, iż jestem zdecydowany i nikt mnie od tego postanowienia nie odwiedzie. „Pamiętaj, że cię ostrzegaliśmy”, brzmiały ostatnie słowa, jakie usłyszałem... Od tego momentu dni mijały wolno, zbyt wolno.

Wokół sprawy zapadła cisza, która trwała ponad dwa tygodnie. Nie ukrywam, że denerwowałem się okropnie, nie opuszczały mnie wątpliwości i obawy. Niepewność stała się dla mnie udręką. Także dlatego, że nie rozmawiałem o tym nawet z przyjaciółmi, nie chcąc nadawać zdarzeniu zbyt dużego rozgłosu. Dziś już dokładnie nie pamiętam, czy to była jakaś narada, czy spotkanie zespołu prasowego, dość, że po zakończeniu zebrania podszedł do mnie Jerzy Łukaszewicz, sekretarz KC, i poinformował mnie: „Sekretariat zapoznał się z twoim pismem, redaguj kronikę tak jak do tej pory”. Kamień spadł mi z serca także, dlatego, że PKF od tej pory przestała być „oczkiem w głowie” Piotra Jaroszewicza. Premier Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przestał oglądać PKF!

Kamień spadł mi z serca także, dlatego, że PKF od tej pory przestała być „oczkiem w głowie” Piotra Jaroszewicza. Premier Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przestał oglądać PKF!

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródła: Trybuna.info, Pekaefczyk.com